

ODRA czerwiec 1966

MICHAŁ MISIORNY

JAN PAPUGA

Ogłosił tylko dwa tomy opowiadań: „Najpiękniejszy rejs” ukazał się w Londynie w grudniu 1945, nakładem „Orbisu”, i został ponownie wydany po powrocie pisarza do kraju przez „Książkę” („Szczyry morskie” — maj 1946), a w prawie dwadzieścia lat później — jesienią roku 1965 — wyszły opowiadania w tomie „Guadalajara, Guadalajara”, nakładem „Wydawnictwa Poznańskiego”. Pośrodku — dwadzieścia lat, cały okres powojenny, nie najweselszy w życiu pisarza, z niezycziwym Szczecinem lat 1950-tych, gdzie mówiono, że taki Papuga pływać nie powinien, i — tu okrucz niemal fikcji — życzliwą „Twórczością”, która drukowała z rzadka powstające jego nowele.

Pracował w tym okresie dużo i gorączkowo. Pomiedzy opowiadaniem z „Najpiękniejszego rejsu” — w istocie rzeczy chropawymi, pozbawionymi dramaturgii zapisami sytuacji i znamienych wydarzeń — a tomem opowiadań „Guadalajara, Guadalajara” legł stos lektur, licznych

i zachłannych przez chęć, beznadziejną, ogarnięcia całości, legły na koniec o literaturze i życiu przegadane przyjaźnie (Franciszek Gil), z których wyniósł więcej niż z lektur. Były także długie, wlokące się dni niedostatku. Zimą meldował się w szczecińskich „13 Muzach” w dunkrach i byle jakim swetrze, latem — w krótkich spodenkach i apostołskich sandałach... Marzył o sytuacjach idealnych, wierzył w ich realność. Zawarty był w tym jakiś odruch sprzeciwu.

Kilka lat męczył Jerzego Putramenta ideą falansteru pisarzy w Bieszczadach. Później, kiedy przyjaźniliśmy się już i kiedy zupełnym przypadkiem sprawowałem prezesurę wśród szczecińskich literatów, żył myślą przekształcenia swej habendy w Lubinie na wyspie Wolin, położonej tuż nad Zalewem, na najpiękniejszym brzegu — w coś podobnego do porzuconej, choć nigdy na dobre, idei falansteru, domu czystej pracy i najważniejszych rozmów. Domagał się ode mnie pomocy. Ale Związku nie było stać na realizację podobnych pomysłów. I ta habenda!... Tylko w oczach Jasia przedstawiała się tak samo, jak na rysunku architekta. W rzeczywistości była ruiną, wymagającą setek tysięcy nakładów, siły roboczej i mocy przerobowych, potrzebnych gdzie indziej, nie zaś tu, gdzie miałyby realizować się nieokreślony po-

mysł Jana Papugi...

2.

Poznałem go na wieczorze autorskim Jerzego Putramenta. Właściwie był to nie wieczór, lecz kazanie, albo coś w rodzaju ostrego, skrajnego wykładu, mocno rąbanego, choć mowa była o literaturze, czyli o sztuce. Pamiętam napięcie, jakiś szok, nie tylko mój, skoro rysował się na twarzach także innych słuchaczy, obytych raczej ze śpiewem. Putrament skończył wreszcie, nastąpiły „wolne wnioski”, wtedy z kąta, gdzieś zza drzwi, usłyszeliśmy pytanie, sformułowane przez Jana Papugę, a skierowane przeciwko Putramentowi. Wydawało mi się wówczas, że tylko dla niepoznaki ubrane było w coś w rodzaju naiwnego zdumienia i pełnej wdzięku prostoduszności. Pytanie doszło celu, Jerzy Putrament wołał coś głośno i długo. W Janku — sądziłem wtedy — dostrzegłem kawał gry, takiego niby naiwnego cwaniaczka, i w takim punkcie rozpoczęła się nasza znajomość. Później — jedna z moich najbardziej fascynujących i urokliwych przygód.

Trwało to kilka lat (Janek nieraz jeszcze „zaczepiał” autora „Pół wieku”, wszędzie, gdzie go tylko dopadł), rozstaliśmy się dopiero na krakowskim zjeździe literatów — on wracał do

swojego Szczecina, gdzie nareszcie otworzyły się przed nim jakieś szanse, mnie przyszło stamtąd wiać, dokądkolwiek. Nim wszakże pożegnaliśmy się, znalazł się epilog dla pierwszej sceny. Był bankiet pożegnalny w ratuszu krakowskim, staliśmy u szczytu długiego stołu, zajęci wódką i zakąskami. Papuga węzłastymi palcami ujmował kieliszek, kiedy podszedł Putrament i powiedział coś w rodzaju „jak się macie”. Janek na to, że chciałby napić się z nim wódki; napili się. Po jakimś czasie Putramenta nie było, a Papuga z zadartą głową wydukał po chwili zdumienia: — Patrz, jak ja mu wtedy nagadałem, nie? Nagadałem mu nieraz, nie? A patrz, nie stawiał się, wypił ze mną, nie? Wielki pan, nie?...

Zdarzenie, niby nieważne, miało ten sens, że obaliło, co już było obalone, owo pierwsze wrażenie niby naiwnego, niby cwaniaczka. Papuga nigdy taki nie był. Miał swój styl w sprzeciwie i w polemice, swój styl i swoją poetykę, całkiem oderwaną, dążącą do absurdalizowania, ale w końcu zarówno sprzeciwy, jak i polemiki były zawsze incydentami drugorzędnymi. By użyć własnej jego stylistyki: był otwarty na ludzi, wolny od uprzedzeń, każdą chwilę autentycznego kontaktu z innym człowiekiem obracał w swoje prywatne święto. Wystarczy zresztą czytać uważnie opowiadania z ostatniego tomu,

właśnie pod tym kątem, by dostrzec, że głównie w zaczepnej Otwartości na ludzi tkwi jeden z istotnych uroków tego samego wciąż narratora, którym — jakkolwiek się zwał — wciąż jest Janek Papuga.

3.

Ale w opowiadaniu „Pole” (od „Der Pole”, z tomu „Najpiękniejszy rejs”) — po dwudziestu latach sam Papuga to jedno tylko opowiadanie z całego tomu określa jako udane — bohater nazywa się Bohdan Wrona.

Ten „Pole” pływał w konwojach, wierzył głęboko i gorąco w szczęśliwy powrót do Polski, na talizmanie — złotym łańcuchu — wyrył inskrypcję „Polak — Bohdan Wrona”. Ale nie wrócił do Polski. Zginął podczas bitwy o konwój, ciało zabrała woda, płynęło, niektórym z załóg przepływających statków z konwoju wydawało się, że jeszcze żyje. W istocie — umarły Polak, wedle Papugi, żyje jeszcze.

„Pod wieczór, kiedy słońce było już blisko horyzontu, podpłynął do niego niemiecki ścigacz patrolowy. Jeden z marynarzy uchwycił go za pas ratunkowy na piersiach i uniósł z wody. Patrzyli na jego nogi zgięte w kolanach, na ręce zgięte w łokciach i zaciśnięte w kułak dłonie. Przyglądając się twarzy doznali wstrząsu. Drugi marynarz podniósł lewą rękę z wody, obejrzał złoty łańcuch,

badając dokładnie jego wartość. Po chwili wyczytał cicho: — Polak.

(...) Wojował jeszcze po śmierci, jak gdyby za życia miał jej za mało. A teraz niesamowitym spokojem drwił sobie z nich. Miał dla nich okropną pogardę, paraliżował im mózgi...

– Puść go — charknął oficer, nie każąc nawet szukać dokumentów (...) — Przeklęty naród, straszą nawet po śmierci (...)

Kiedy księżyc wszedł na niebo, był już blisko, przy cyplu półwyspu normandzkiego. Tu fala wyrzuciła go na zasieki z drutów kolczastych... Przechodzący brzegiem wartownik wziął go za żywego. Wygarnął cały magazyn, zabijając go po raz drugi. Kiedy przybiegł patrol — już go nie było. Silniejsza fala zdjęła go z drutów i niosła dalej. Płynął teraz na otwarty Atlantyk...”

Umarły Bohdan Wrona pierwszy dokonał inwazji kontynentu, został po raz drugi zastrzelony, ponieważ szarżował głupio. Pomińmy wszakże przykład, także tę przesadną jego wykładnię, a pozostanie coś, co charakteryzuje prozę Papugi w sposób najbardziej autentyczny. Jedna z jego dwóch czy trzech pasji, może obsesji, wciąż obecnych w opowiadaniach. Nie ma wśród nich ani jednej z gatunku prywatnych, wewnątrzpisarskich

kompleksów.

Ukształtowany w biedzie podpiotrkowskiej wsi, emigrant na łódzkie Bałuty, gnany precz z sanacyjnej szkoły podoficerskiej, bezrobotny potem, szedł pieszo przez zielone granice, by w rumuńskiej Konstancy zamustrować na swój pierwszy w życiu statek (opowiadanie „Aluś” z tomu „Guadalajara, Guadalajara”). Internacjonalista i proletariusz, każde z opowiadań emigracyjnych (ściślej: wojennych) przede wszystkim w nadmiarze inkrustował Polską. Nieco inną niż ta, jaką był opuścił („Skandynawowie tchną ideowym socjalizmem. Grecy i Jugosłowianie są zupełnie pewni, że z odejściem Niemców skończy się w ich krajach niewolnictwo. Francuzi myślą o jeszcze jednej epokowej rewolucji, dla dobra całej ludzkości. Polacy przyrzekają, że upuszczą — by spływała rynsztokiem — zdegenerowana krew, która trzyma ich kraj w nieszczęściu... Tak, orzeł musi być, ale bez korony” z opowiadania „Konwój” w tomie „Najpiękniejszy rejs”); ale przecież tą samą. Tą samą, mimo iż zdobył się nawet na zaskakująco skrajne wyrzeczenia i w gruncie rzeczy bezna- dziejne, jeśli idzie o szansę rozwiązania, wyznanie (w opowiadaniu „Początek topografii”): „Będąc małym chłopcem płakałem po lekcji historii nad głową Żółkiewskiego, zatkniętą na pice. Krzyczą-

cego we śnie budził ojciec, a mnie jeszcze dochodził ryk Grunwaldu... Teraz też byłem gotowy bić się o mój kraj, choćby z całym światem. Ale prędzej zbombardowałbym Belweder niż Związek Radziecki, prędzej Wawel, niż bym podniósł rękę na polskich robotników...”

Były wieczory dyskusyjne po ukazaniu się tych opowiadań, na których ostro wyrzucano Papudze te słowa. Niesłusznie i niepotrzebnie. „Byłem z parszywej Łodzi...”; jednym z osobliwych sukcesów dawnej Polski była przecież okoliczność, że Bałuty musiały być dla wielu czymś znacznie ważniejszym, większym i bliższym niż Wawel...

4.

Jednak nie każdą swą pasję zapisuje Papuga równie znakomicie, jak pracę. Szczególnie dotyczy to opowiadań z tomu ostatniego.

Dwadzieścia lat przerwy między jednym a drugim debiutem uczyniło z Janka pisarza. Nie pierwszy tom, nie pierwsze recenzje, kiedy zachłystywali się ludzie piszącym marynarzem, autodydakta w gruncie rzeczy. Pisarz pojawił się dopiero w opowiadaniach drukowanych w „Twórczości” i „Życiu Literackim” w czasie ostatnim (zebranych później w „Guadalajara, Guadalajara”). W tym samym, co dawniej, zapisie sytuacji czy wydarzenia,

pojawiła się dramaturgia, świadoma reżyseria, którą nazywamy także organizacją materiału, wśród tego zaś opis pracy fizycznej potrafił Papuga podnieść do rangi pierwszorzędного czynnika konstrukcyjnego i poetyckiego.

Nie będę już cytować zbyt obszernych wyimków z opowiadań drugiego tomu („Pasek”, „Psikus”, tytułowe), wyznam jednak, że zaskakiwały mnie te strony, zwłaszcza dzięki odkryciu, jakie im towarzyszyło. Uświadomiłem sobie podczas lektury, że właściwie w całej powojennej prozie polskiej nie ma tak celnego i tak poetyckiego zarazem aktu rehabilitacji pracy jako czynnika literackiego, jak właśnie w paru opowiadaniach Papugi. A że są to, prawem środowiskowej przynależności autora, opisy pracy na morzu — palaczy, marynarzy pokładowych — to sprawa w końcu drugorzędna i nieistotna, mimo iż, jeśli mówi się w Polsce o Papudze, to najczęściej jako o maryniście i marynarzu.

Tymczasem właśnie przykład twórczości Papugi dowodzi, jak śmieszne i mylące jest to określenie: marynistyka. Gdy Papuga, co mu się zdarza (szczególnie w pierwszej książce) zachłyśnie się morzem, żywiołem, siłą i wyrazem fal (etc.), spod jego pióra najczęściej wychodzą patetyczne, dęte potworki. I jest to efekt przeciwny, sprzeczny z tym, do jakiego dochodzi, gdy opisze obłąkańczy, groźny

rytm pracy palacza na przedwojennym s/s „Polonia”, wożącym Żydów z Rumunii do Palestyny, czy gdy z ciężkiej orki marynarza, otłukującego rdzę i szlam w komorze łańcucha kotwicznego, uczyni jeden z najbardziej wyrazistych zapisów literackich pracy w prozie polskiej.

Kończę rzecz o Janie Papudze — i ogarniają mnie wątpliwości. Wreszcie dochodzę do wniosku, że wszystko, co tak pięknie pragnąłem napisać o trzech pasjach Jana, o Polsce, o proletariackiej topografii i o pracy, to w takim samym stopniu prawda, jak i nieprawda. Bo prawdziwy Papuga nie tam tkwi, wśród tych rekwizytów i wartości. Jest ukryty wśród linijek tekstu, ukryty bardzo dobrze, do tego stopnia dobrze, że dla wielu stał się niewidzialny.

Jest bowiem poetą, głównie i przede wszystkim poetą. Ściślej mówiąc: bywa nim, w przerwach, czasem nawet wśród gorszej literatury, bo i taka się trafia, ale właśnie te kartki czy linijki, gdzie bywa poetą, należą do najbardziej autentycznych w jego prozie. Tam dzieło jest tożsame z twórcą. Młody krytyk znalazł w książce Papugi coś z linii Saint-Exupery'ego. Myślę, że to jest trafne, ale nie przy zewnętrznym oglądzie obu pisarzy.

Poezja — rozumiem ją jako specjalny, niedostępny wielu wykształconym i „przerafinowanym”

pisarzom „światopogląd” — jest organizatorką etyki Jana Papugi, ale nie tylko: rządzi także jego warsztatem, głównie leksyką. Trzeba tę poezję śledzić w tekście, w jego mikroukładach, czasem trzeba tropić pod tekstem. Kiedy zamiast „zamyślili się” napisze: „zapadli się w sobie”, pokaże nam tylko okruch swego poezjowania, swej funkcjonalnej, znaczącej metaforyki.

Ma swój język, swoje błędy gramatyczne, swoje instynktowne czasem dojścia i „przekalkulowane” klęski, ma swój własny wyraz stylistyczny. Ale i to, podobnie jak tamte pasje Jana, jest drugorzędne wobec piętna poetyckiego, jakie nadaje fragmentom swej prozy, także wtedy, gdy pisze o pracy palacza, która nie jest łaską, lecz znojem, albo gdy zapisuje swą piękną etykę lojalności wobec dobrych, opiekuństwa wobec słabych, etykę wolną od tej parafrazy męskości, jaką dała „marynistryka” mostku kapitańskiego...

Michał Misiorny